WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA W KRAKOWIE WYNOSI:
DO KOŃCA ROKU 4 KORONY.
NUMER POJEDYŃCZY 20 h.
20 CENTIMÓW, 20 FENIGÓW, 10 KOP.

GŁOS
LITERACKI I SPOŁECZNY.

WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA ZAMIEJSCOWA WYNOSI:
DO KOŃCA ROKU 5 KORON.
ZA GRANICĄ — 5 MAREK, 5 FRANKÓW ALBO 2 RUBLE.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon Nr. 309. Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI.

„Głos literacki i społeczny“ dołączany jest jako bezpłatny niedzielny dodatek dla wszystkich abonentów dziennika „Głos Narodu“.

Nr. 13. Kraków, dnia 7. września. 1900.



Kazimierz Tetmajer.

Z PAMIĄTEK.

Upaść tak, jak padli oni,
Piersią na miecz, z raną w skroni,
Patrząc prosto w grzmiące działa,
Zapłątani w zdradnej matni,
Wiekom swe rzuciwszy dzieła
W chwili skonu krzyk ostatni
Wznosząc: „Polska nie zginęła!“.... —
Od stu zwycięstw większa chwała!

* * *

I nie hańba to jest jeszcze
Z pod przemocy niemódz wstać,
I gdy dłonie wzięto w kleszcze
Niemódz z ramion więzów rwać;
Lecz srom ducha w pęto dać,
Hańba — o swe prawa w targ
Wchodzić — gnąc ku ziemi kark,
A nie czoło niosąc dumne,
Z oczu iskry sypać w oczy —
Dla narodów krok to w trumnę,
Gdy je rak spodlenia toczy.

* * *

Gdyby dziś w ogniowej probie
Stanął polski naród cały,
Czyżby znalazł dosyć w sobie
Żaru, męstwa, hartu, siły,
By mu czyny prawo dały
W krwawe pola na mogiły
Bohaterów śmiało iść,
I z wyrosłych mogił drzew —
Których ziarnem — kul był grad,
Sokiem jest — rycerska krew,
Szumem — hymn na cały swiat: —
Rwać na czoło swoje liść?....

* * *

Dziś czas inny — — inny strój
Serc i mózgów, ale bój
Choć nie krwawy, równie twardy
I w tym boju większy znój;
Bo nie szczerbić broń o broń,
Ale bronić się od wzgardy,
Z pod stóp trzeba wyrwać skroń!
Nie sztandary rozwinięte
Piersią trzeba dziś zasłonić,
Napastnika stalą kłuć:
Lecz sztandarów szczątki święte
Trzeba duchem tak zasłonić,
By nikt na nie nie śmiał pluć!

* * *

Naród winien wejść w narody
Równy wszystkim dookoła,
Gotów z każdym iść w zawody!..
Dziś czas inny — — szabla goła,
Na kształt świetnej błyskawicy,
Nie zaiskrzy się w prawicy:
Lecz duch swoje ma oręże
Nie mniej świetne, nie mniej skrzące,
I ma zwycięstw swoich słońce — —
Pole jest — — lecz czy są mężę?....

Na Słoweńsku.

Aby się pokochać z kimś i sojusz ścisły zawrzeć, trzeba go wprzód poznać. Według tej myśli postępują Czesi, którzy chcą dziś stać się przedstawicielami dzielnymi Słowiańszczyzny, którzy stają na czele współplemieńców, pod berłem habsburskiem zostających. Działają dość energicznie i wcale skutecznie. Na polu literackiem ujawnia się to najdobitniej w wydawnictwie „Słowiańskiego przeglądu“ (Slovanský přehled). Młodzieży innych plemion słowiańskich ułatwiają u siebie wyższe studya. (W Pradze — informuje nas D. Lončar w artykule „Slovinci“ w Almanache Slavic 1900, — dostają słoweńscy akademicy zapomogi z funduszu Husowego, towarzystwa w celu pomagania ubogim studentom filozofii i od osób prywatnych i tym sposobem szerzą swój język i swą oświatę. Sami zaś uczą się chętnie innych języków pobratymczych. Jednoroczni ochotnicy rozbiegają się po całej Przedlitawii i każdy się uczy innego języka. (Znam w Krakowie takich, co przez rok służby wojskowej wyuczyli się znakomicie polskiego języka, a w wiadomościach z naszej literatury mogliby się zmierzyć z niejednym wykształconym Polakiem.) Wystarczy zresztą przejrzeć zeszyty „Słow. przegl.“, by się przekonać o znajomości innych języków słowiańskich u Czechów.

A u nas? Pomiędzy wykształconymi i starszymi nie wielu mamy ludzi, znających po kilka, a nawet po parę języków słowiańskich poza ojczystym. Zaledwie kilku profesorów. A młodsi? Wszak na uniwersytecie słyszymy ciągle, że slawistów coraz więcej. Myślałby ktoś istotnie, że to slawiści. Nie, to tylko poloniści, oni poświęcają się tylko literaturze polskiej. Jeśli który umie po rosyjsku, to z pewnością pochodzi on z Królestwa. Miejmy nadzieję, że będzie lepiej i w tym kierunku, a tymczasem pragnąłbym choć w kilku słowach czytelnikom skreślić obrazek z życia Słowiańszczyzny, napisać zdań kilka o Słoweńcach.

Narodek to mały, o którym nie wiele świat ma wiadomości, nie wiele nawet wiedzą bracia jego niektórzy. Imienia dobijają się Słoweńcy w latach dopiero ostatnich, w dniach najświeższej doby. Liczba ich dochodzi do niezupełnego $1\frac{1}{2}$ miliona, a choć obszarem ziemi nie rozerwani, rozdzieleni przecież granicznemi kopcami. Jedynie bowiem w Krainie stanowią większość przeważającą liczebnie, w Styryi dzierżą ledwie część południową kraju, podobnie w Karyntyi (Korutanach), Pobrzeża pas nadmorski zamieszkują już Włosi, część tylko wschodnia należy do Słoweńców i Serbo-Chorwatów. Osady większe tworzą jeszcze w ziemi węgierskiej, przylegającej do granic Styryi południ. i Krainy, w północno-wschodniej Italii (Rezya). Znaczna liczba opuściła swą ojczyznę, wychodząc do Ameryki. Wielu udaje się na zimę w świat za zarobkiem, a wracają raz w roku latem do ojczyzny. Z liczby ogólnej przypada mniej niż połowa na Krainę, najwięcej jest następnie w Styryi, bo 431.000 i Pobrzeżu (207.000), mniej w Karyntyi (130.000) i Italii (40.000). W Ameryce liczą Słoweńców na 60.000.

Siedziby swe zajmują od czasów dawnych; odkąd dzieje o nich wspominają, do dnia dzisiejszego ojczyzną ich ziemia ta sama, zmniejszana tylko i ścieśniana w granicach skutkiem zniemczania z północy i naporu włoskiego od południa. Usadowili się tu w drugiej połowie VI. w., skoro dalsze zapędy ich na południe silnym oporem zostały wstrzymane. Pod władzą żupanów i rozkazami wojewodów zostając, uprawiali spokojnie rolę. Państwa nie stworzyli żadnego, bo i warunków po temu nie było. Wszędzie bowiem góry, małemi dolinami i krótkiemi wąwozami poprzecinane, nie dozwalają na łączność gmin dalszych ze sobą i do dziś dnia w jednej osadzie wiedzą o drugiej ledwie z późnych słychów lub z pisma. Od pierwszej już chwili staczać muszą boje z najeźdźcami Owarani, bronić się przeciw Frankom, Turlanom, Langobardom. Za Karola W. dostają się w moc frankowską. Zjawiają się pierwsi osadnicy germańscy, na wysokich szczytach wznoszą się powoli grody warowne, ale nie słowiańskie. Z ustrojem feudalnym napływają osadnicy tłumnie, powstają olbrzymie obszary hrabskie i biskupie. Wreszcie ziemia słowiańska przechodzi w ręce Habsburgów i dzieli losy z resztą ich posiadłości (Kraina i Karyntya 1335, Gorycya 1500).

Jak Słowacy w czasie powstania węgierskiego wierni zostali koronie, tak i Słoweńcy zawsze podwładni i potulni służyli swym panom. W historyi prawie wzmianki o nich nie ma. Dopiero w wieku XIX. odezwali się nagle. Z chwilą zbudzenia się ducha słowiańskiego na południu poruszyli się i Słoweńcy. Nad Dunajem do dziś nie chcą wiedzieć, że naród ten istnieje, że zamieszkuje nie tylko Krainę, ale i sąsiednie ziemie; dziwią się mężowie, że w „Karyntyi są Słowianie“ jacyś. A tak, są. Od lat paru może nawet już sami Niemcy widzą, gdzie są ci Słowianie, bo na kilku liniach kolejowych obok czarnych napisów niemieckich czerwienieją słoweńskie napisy. Ich to gniewa i złości. Ale natomiast co za przyjemne uczucie dla Polaka lub innego Słowianina, gdy jedzie już godzin kilkanaście przez kraj czysto niemiecki i wszędzie widzi tylko i słyszy wyrazy germańskie, aż oto nagle słyszy: Laibach — Ljubljana!

Wychodzę z pociągu, rozglądam się, czytam napisy: Izhod (wychód), k vodujaku (ku studni), posługacze nie mówią tu niemczyzną, tam kilka osób żywo rozprawia po słoweńsku. Przysłuchuję się i przypatruję wszystkiemu, bo wszystko mię zaciekawia i czegoś mi w duszy wesoło, sam nie wiem, skąd jakieś dziwne zadowolenie opanowało me serce. Choć nie byłem jeszcze u kresu podróży i miasto zwiedzić miałem później z dobrym przewodnikiem, kolegą, przecież nie mogłem się oprzeć pokusie, by choć przelotnie Ljubljanę zobaczyć.

Rano, godzina wpół do siódmej dopiero, miasto ledwie wstało, rozdrzemana służąca otwiera okiennice, by wpuścić promienie słoneczne do pokoju. Najpierw też uwagę moją zwróciły okna, gdyż we wszystkich domach zwłaszcza dawniejszych są jednakowemi okiennicami opatrzone, jakich u nas nie ma na północy. Jest to rodzaj naszych zasłonek okiennych deszczułkowych z tą różnicą, że deszczułki te są dość grube i w ramkach. Na noc deszczułki się spuszcza pionowo jak przy zasłonach naszych, na dzień zaś ustawia się je prostopadle do szyb. Takie urządzenia są we wszystkich domach wiejskich, gdzie również mieszkania budowane są z kamienia nie zaś stawiane z drzewa. Przebiegłem ledwie parę ulic, nawiasem mówiąc, bardzo schludnych i przyszedłem nad brzeg rzeki Lublany. Spokojnie płynie ona środkiem miasta. Mostów coś 6 łączy jej brzegi. W stronie wschodniej, na skale dość wysokiej, już nieco za miastem w położeniu podobnem jak kopiec we Lwowie wznoszą się szare mury starego zamku. Do niedawna mieszkał tam arcybiskup, później znaleźli tam pomieszczenie więźniowie, dziś stoją pustką. Część miasta wschodnia jest ważniejsza od zachodniej. Tu jest katedra i zakład teologiczny, tu pomnik Vodnika, wielkiego Słoweńca, posąg św. Jakoba i cały szereg wpaniałych gmachów. Nie mam przecież zamiaru opisywać i wymieniać osobliwości Lublany, bo nawet później nie mogłem ich wszystkich poznać, zaczem opuszczam stolicę słoweńską.

Za niecałą godzinkę stanąłem w Biskupiej łące (Škofja loka — Bischoflach), leżącej na północny zachód od Lublany. Wyszedłszy z pociągu, wsiadłem do wózka pocztowego, stosownie do listowych wskazówek kolegi — Słowianina, do którego jechałem. Droga wiedzie ciągle doliną długą blisko dwie mile. Z obu stron wysokie lesiste szczyty gór, wązkim wąwozem koło drogi biegnie strumień bystry i głęboki, przypominający miejscami nasze Pieniny. Od czasu do czasu wyłoni się obszerniejsza równina, na niej domków kilka i kościółek ze smukłą wieżycą i znów wąwóz, że ledwie droga i rzeka się zmieszczą pomiędzy ścianami alpejskiemi. Spojrzę w górę, tam w podniebiu słońce uśmiechnięte, na wyniosłych szczytach górskich wznoszą się ku niemu wysokie kościoły „podróżnice“. Podróżnic takich czyli drugorzędnych kościołów bez księży, gdzie nabożeństwo się odprawia parę razy do roku, jest w samej Krainie przeszło 1000. Prowadzą do nich z głównego gościńca (cesta) drogi polne odpustowe (put) przez lasy i polany. Drogowskazy oznaczają podróżnym kierunek drogi i czas, jak prędko można się wydostać na wierzch góry.

Pocztownik, z którym jechałem, nie umiał po niemiecku ani słowa, a tu mnie znów trudno się było zdobyć na zdanie jakieś słoweńskie. Mógłbym wprawdzie to i owo określić, ale chyba byłoby to zdanie jakieś bardzo pospolite, jakby z elementarza wyjęte. Na szczęście moje pocztownik był powiadomiony, że ma przyjechać jakiś obcy i skoro usłyszał odemnie znane mu nazwisko mego znajomego, uśmiechnął się i rzekł: „A gospod Dermota, znam, znam!“ Skorośmy stanęli w Żeleźnikach (Železnike — Eisnern), zaprowadził mię do pięknego murowanego piętrowego domku, gdzie znalazłem mego gościnnika. Znajomość nasza nie dawna, bo od wszechnicy krakowskiej trwająca. Tu poznaliśmy się, tam mieliśmy bliższe zawrzeć stosunki.

Już listownie planowaliśmy sobie wycieczki w góry, drapanie się na szczyty, pióra nasze rozkoszowały się już opisem lodowców i jezior, które mieliśmy oglądać; pierwszą jednak rzeczą, jaką musieliśmy zrobić, było ćwiczenie językowe. Najpotrzebniejsze wyrazy i zdania zapisywałem i uczyłem się ich na pamięć. Było to tem konieczniejsze, że pozdrawiają się wszyscy przy spotkaniu, znajomi czy nieznajomi; musiałem zatem nauczyć się odpowiadać na pozdrowienia. Zaraz dnia pierwszego odpowiadałem już na pozdrowienie: „dober dan“ — Bog daj dober dan“, na dobranoc wypowiadałem życzenie: „lahko noč“, dziękowałem po słoweńsku, „hvala“. Aby jednak ich wyrazy, nie już całą mowę rozumieć, żyć trzeba dłużej między nimi, by się przyzwyczaić do cichego a prędkiego wymawiania. Nie jest to bowiem ani czeskie skakanie, ani ruskie wykrzykiwanie, ale łagodna i spokojna, cichutka pogwarka. To też śpiew ich jest powolny, a krzyku lub wołania głośnego nigdzie nie usłyszy. Co do zakresu dźwięków i wyrazów, język to bardzo dla nas łatwy, jedynie w znaczeniu różnią się często wyrazy równobrzmiące słowiańskie i polskie n. p. *sad* = owoc (blogoslovljen je *sad* tvojego tebsa), *bitka* = bitwa, *obraz* = oblicze, *morda* = może i t. p. w głoskowni nasze ę = słow. e, ą = o, c = č, j = dz i t. d. na przykład: jezik, roko (ręką), noč, meja (miedza).

Przy ćwiczeniach i w rozmowie posługiwać musieliśmy się czeszczyzną. W tym języku mogłem się rozmówić z kilkoma akademikami, którzy po czesku umieli już z czasów służby wojskowej odbytej między Czechami lub studyów uniwersyteckich w Pradze. Jeden tylko weterynarz, który dyplomowany był we Lwowie, umiał trochę po polsku. Po niemiecku umieją wszyscy doskonale, ale żaden nie chce mówić tym językiem. Uważałem, że, gdy koniecznie uciec się do tej mowy musieliśmy, to pewien medyk głosem nazbyt przyciszonym i pospiesznie wymawiał słowo niemieckie, jak gdyby grzech jaki popełniał. Podobnie postępują wieśniacy. Po niemiecku rozumieją, ale nie mówią. Wykształceni uczą się chętnie innych języków, ze szczególnem zamiłowaniem podobno uczą się studenci w Lublanie rosyjskiego, z pobudek chyba łatwo zrozumiałych. Inni, którzy tak jak my z konieczności to czynić muszą, czynią to niezawodnie mniej chętnie. I tak mówiono mi, że w Pobrzeżu każdy chłop zna 3 języki: słoweński, chorwacki i włoski, a nierzadko też niemiecki. Mają też zdolność w tym kierunku wrodzoną, dowodem tacy językoznawcy jak Kopitar, Miklosich, Murko i inni. Uczeni nasi dziwili się przecież bardzo, gdy na zjeździe historyków polskich przed paru miesiąckmi, p. Murko z całą znajomością literatury naszej i dobrą zupełnie polszczyzną w sekcyi literackiej o romantyzmie polskim rozprawiał. Młody mój towarzysz, choć prawnik i z zamiłowania ekonomista, posiadł już słowiańskie języki wszystkie prócz małoruskiego. Zasługa w tem poniekąd szkoły, gdzie w wyższych klasach gimnazyalnych uczą się zasad językoznawstwa słowiańskiego i gramatyki języka cerkiewnego w tych rozmiarach, w jakich my je dopiero słyszymy z katedry uniwersyteckiej. A przecież oni mniej mają godzin przeznaczonych dla języka macierzystego niż my!!

(Dok. nast.)

Oddział Nr. 6.

opowiadanie dla inteligentnej publiczności

Antoniego R. Czechowa

I.

Na szpitalnem podwórzu stoi niewielka oficyna okrążona lasem chwastów wysokich, pokrzywy i dzikich ostów i konopi. Dach na niej porwany, komin w połowie zwalony, schodki prowadzące wewnątrz na pół zgniłe, na pół porosłe trawą, a ze sztukateryi pozostały tylko niejasne ślady. Frontem do szpitala z przeciwnej strony zwrócona na pole, od którego dzieli ją wysoki szary parkan cały najeżony gwoździami. Gwoździe te wbite ostrzem na zewnątrz, parkan ten i sama oficyna ma dziwnie smutny wygląd, taki, jak prawie zwykle spotyka się w gmachach szpitalnych lub więziennych.

Jeżeli kto nie boi się poparzyć pokrzywą, to proszę przejść wąziutką ścieżką wiodącą do oficyny i zobaczyć, co dzieje się wewnątrz? Otworzywszy pierwsze drzwi, wchodzi się do sieni. Wszędzie gdzie spojrzeć, około ścian, około pieca, zwalone stosy szpitalnych rupieci. Materace, stare podarte płaszcze, spodnie, koszule z sinemi plamami, nie zdatne do użytku obuwie — jednem słowem wszystkie nieużytki zwalone razem, które przez pył, brud i wilgoć gnijąc, wydzielają szalony odór.

Na stercie tej z fajką w zębach leży zazwyczaj stróż Nikita, stary, wysłużony żołnierz, o twarzy surowej, nabrzękłej nałogowego pijaka. Opadłe brwi nadające twarzy wyraz wilka i czerwony nos: wzrost nie wysoki, na wygląd szczupły, ale muskularny i o wielkich silnych pięściach. Należy do tej bezdusznej i bezmyślnej kategoryi ludzi, którzy spełniając swój obowiązek, uważają za główną jego cechę bicie. To też Nikita bił przy każdej sposobności, czem się dało i gdzie się dało, po twarzy, po piersiach, po plecach, sądząc, że bez tej czynności nie byłoby porządku i ładu.

Dalej wchodzi się do wielkiej izby, która niemal zajmuje całą oficynę, nie licząc sieni. Ściany brudno niebieskie, pułap zakopcony jak w dymnej chacie, znać że w zimie dymią piece i pełno swędu i czadu. Podłoga brudna, od niepamiętnych czasów nie myta. Czuć ją kwaszoną kapustą, spalenizną, pluskwami potem i ta woń zmięszana razem tworzy odór, podobny do atmosfery, jaką spotyka się w źle przewietrzanych zwierzyńcach.

W izbie tej stoją szeregiem łóżka przytwierdzone do podłogi. Na nich siedzą lub leżą ludzie w długich szarych, szpitalnych płaszczach, a właściwie chałatach i w szarych czapeczkach. To obłąkani.

Wszystkich ich na razie pięciu. Jeden szlachcic, reszta mieszczanie. Pierwszy od drzwi wysoki, chudy mieszczanin z ryżemi wąsami i zapłakanemi oczyma, siedzi bez ruchu, podparłszy głowę i patrzy ciągle w jeden punkt. W szpitalnej książce choroba jego zapisana jako „hipochondria“ a w rzeczywistości postępujący paraliż. Dzień i noc smutny, kiwa głową rozpaczliwie i wzdycha z jakimś gorzkim czasami uśmiechem. W ogólną rozmowę nigdy się nie wtrąca, a zapytany także milczy. Je i pije machinalnie a sądząc po strasznym kaszlu i jaskrawych wypiekach na twarzy, ma obecnie początek suchot.

Za nim siedzi maleńki, ruchliwy staruszek ze śpiczastą bródką i czarnemi, wijącemi się jak u negra włosami. Ten znowu całe dnie przechadza się po pokoju, albo siedzi na łóżku z podwiniętemi po turecku nogami, naśladując ptaka gwiżdże, śpiewa, i śmieje się bezprzestannie. Dziecinna wesołość i żywy charakter nie opuszczają go na chwilę. Kiedy rano budzi się to uderza pięściami w piersi, co ma oznaczać gorącą modlitwę, lub idzie kręcić dziurkę w drzwiach. Tym nieszczęśliwym jest żyd Mosiek, dwadzieścia lat już zamknięty, a obłąkany wskutek pożaru swojego magazynu czapek.

Ze wszystkich obłąkanych, znajdujących się w oddziele Nr. 6, temu jednemu wolno wychodzić z izby, ba nawet i z podwórza szpitalnego. Taki przywilej ma on już od dawna i miasto przywykło widzieć obłąkanego, cichego staruszka, który od czasu do czasu chodzi po ulicach, otoczony swawolnemi dziećmi i złemi psami. W szpitalnym płaszczu, w śmiesznej czapeczce, w łapciach, bez pończoch, nawet i bez spodni chodzi po mieście i zatrzymuje się przed drzwiami mieszkań lub sklepów prosząc o kopiejkę. W jednem miejscu dadzą mu kwasu, w drugim chleba, w trzecim drobny pieniądz i zwykle powraca do szpitala syty i obdarzony!? Wszystko to co uzbiera i przynosi ze sobą, zabiera mu przy wejściu Nikita. Robi on to z pewnym żalem do siebie i zawsze zapewnia że po raz ostatni pozwolił choremu wyjść na ulicę, gdyż z tego powodu powstają nieporządki, które są największem złem na świecie.

Moszek jest bardzo uczynny. Usługuje towarzyszom, okrywa ich gdy śpią, obiecuje zawsze przynieść każdemu po kopiejce, obiecuje także nową czapkę uszyć każdemu, on to karmi łyżką sparaliżowanego sąsiada z lewej strony. Nie czyni tego bynajmniej z litości lub delikatniejszych uczuć, ale aby podrażnić sąsiada z prawej strony, Granowa.

Jan Dmitricz Granow mężczyzna trzydziestu trzech lat, inteligentny, był komornikiem i sekretarzem gubernialnym. Cierpi manię prześladowczą. Zwykle leży zwinąwszy się w kłębek, lub chodzi prędko zemocjonowany. Siada niezmiernie rzadko

Ciągle oczekuje czegoś strasznego. Lada szmer w sieni, lada głos na podwórzu nabawia go strachu. I twarz jego wtedy odbija śmiertelne przerażenie.

Mnie podoba się jego szeroka, pucołowata wiecznie twarz, na której odbija się jak w lustrze przerażenie i wieczny przestrach duszy. Pomimo cierpienia, wyrytego na tej twarzy ciągłą obawą, znać dużo inteligencyi a z oczu bije ciągły, zdrowy blask. Podoba mi się bardzo jego postępowanie delikatne ze wszystkimi, prócz Nikity. Jeżeli komu cokolwiek upadnie, on zwykle podnosi, codziennie wita ich swojem „dzień dobry" lub życzy „dobra noc".

Oprócz tych cech, jego obłąkanie przedstawia się jeszcze i w tem: wieczorami drżąc i dzwoniąc febrycznie zębami, owija się szczelnie w swoje palto i chodzi między łóżkami. Patrząc na niego ma się wrażenie, że człowiek ten posiada jakąś tajemnicę, którą chce koniecznie powiedzieć, lecz wzdraga się, ale kiedy przyjdzie chwila, że wola przełamie nieśmiałość, zaczyna mówić dużo. Monologi to bez porządku, jakieś gorączkowe majaczenia i chociaż mówi porywająco, nie zawsze jednak zrozumiale, ale w słowach i w głosie czuć jakiś ton dobry. Wtedy znać w nim człowieka obłąkanego. Trudno opisać jego zwroty i zdania, to tylko nadmienię, że mówi o ludzkiej podłości, o przemocy kłamstwa nad prawdą, o prawdziwem życiu jakie z czasem nastąpi, o kratach okiennych przypominających mu w każdej chwili o głupocie i bezprawiu gwałcicieli ludzkości. Jednem słowem ze starych i niedośpiewanych jeszcze pieśni.

(C. d. n.)



Jan Kasprowicz.

Baśń nocy świętojańskiej

prolog Jana Kasprowicza, napisany na otwarcie teatru miejskiego we Lwowie, z towarzyszeniem muzyki Sew. Bersona.

„Słów nam potrzeba wielkich i natchnionych
„By godnie uczcić tę dzisiejszą chwilę"

zaczyna aktor, stojący przed kurtyną, swój prolog. I „zanim zabrzmią czarowne słowa liśćmi wawrzynu uwieńczonych piewców, lutnie dzierżąc w niedołężnej dłoni pozbiera dźwięki z ich harf niezegranych i złączy dźwięków tych milknące echa w nikłą i słabą uwerturę". Gdy więc kurtyna się podniosła — scena przedstawia polanę w dzikim górskim lesie, w noc księżycową. Panny leśne: Lilla, Mgiełka, Kalina, Pszczółka, Jętka, Muszka i błędne ogniki uwijają się po polanie, szukając cudownego paproci kwiatu. Znalazły w lesie słomkę, więc dalejże przekomarzać się, kto tę słomkę zostawił — pewnie luby którejś z nich. Tak to słomka z rozczochranej głowy człowieka, a on, Wojtek, pasający każdej nocy konie gospodarskie, jawi się zuch, zwabiony szczebiotaniem leśnych nimf. Woła na nie:

Dziewuchy!
To ja, to Wojtek z Przysiółka,
hań, od jeziora, na prawo....

Gdzieś w tym lesie mają być zaklęte pieniądze, więc dobrze byłoby gdyby „panienki" szukać pomogły..... Nie uciekajta dziewuchy.... Ale one uciekły, a Wojtek zrywa pęk trawy, ociera sobie nogi z błota....

Psiakrew! Zalazłem w błoto, między trzcinę,
i tak się człowiek obabrał.... .
Zawsze tak bywa, kiej się ktoś zadaje
niby z figurą nie ze swego stanu....

„Panienki" się boją iść do Wojtka, aż wreszcie najodważniejsza Kalina z liściem paproci odzywa się doń, że wyszły szukać kwiatu paproci

i już go mamy, ten złoty,
ten rajski, cudowny kwiat;
już ciebie mamy Wojtusiu!

Wojtek im tłomaczy, że nie jest kwiatem paproci, lecz koniuchem, a panny leśne już go pokochały za prostotę, a uciekłszy na skałę, wabią go ku sobie, bo „miłość li z wyżyny przemawiać może". Przemawiają do niego tak pięknie, że Wojtek znów perswaduje Kalinie, iż jest prostym parobkiem, wychowanym w stajni, że więc nie jest dla „panienki". A Kalina odrzecze:

Zamek czy stajnia — to przesąd! to przesąd!
Niechaj miłości przesąd nie rozdziera,
Niechże od wieków powaśnione rody
Skojarzy w wielką, cudotwórczą przyjaźń,
Węzeł miłości.

Wojtek, któremu Kalina przyrzekła pocałunek, drapie się po namyśle na skałę; na górze ukazuje się już w płaszczu i kołpaku à la Romeo w scenie balkonowej. Dotknięty kwiatem paproci, przedzierzgnął się w królewskie szaty, a, skosztowawszy pocałunku Kaliny, woła:

Kocham! kocham! kocham!
Jakżeż rozkosznym jest twój pocałunek
i jak on zmienił całą mą naturę!
Nie wiem, czy sen to, czy jawa: Przed chwilą,
przed małą chwilą jeszcze mi się zdało
Żem jakiś prostak, żem jeden z tych ludzi,
których przyroda rzuca z swej kolebki
obdartych, nędznych i nierozwiniętych
na pośmiewisko i szyderstwo dziecka.
A teraz miłość tak mnie przekształciła,
że niech królowie do nóg mi padają!
niech cały glob się kurczy przed wielkością
mego uczucia i tej chwały mojej,
co spływa na mnie z twej, jasnej, promiennej,
blaskiem jasnego księżyca oblanej,
Wdzięcznej postaci — — —

Skończyło się jednak fantastyczne gruchanie, bo ktoś spłoszył Kalinę, a Wojtek oprzytomniawszy, rozumie, że przytomność chyba stracił, bo mu się zdawało, że miał wspaniały kołpak i płaszcz królewski, a tymczasem to słomko i witki trzciny.

Na scenę wchodzi nowa postać: pani ze dworu, co starego ma męża, wojewodę, która robi Wojtkowi scenę zazdrości — jako kochankowi — iż na skale romansował z jakąś dziewką, choć Wojtek mówi, że to była jego narzeczona. Na nowy grzech z „panią ze dworu" Wojtek nie chce się dać namówić, choć ona mu grozi i skarży się na swego męża, „siwobrodego, niedołężnego brzuchacza", którego bogactwa nie zastąpią jej męża. Chłop na to wszystko odpowiada już tylko odmową i przypomnieniem o przykazaniu Bożem. „Pani ze dworu" nadąsana odeszła, a niebawem jawi się Doktor z Mefistofelesem. Mefisto, służący lekarza, narzeka, iż ma służbę niepopłatną i jeszcze musi się włóczyć z panem swym po turniach. Wojtek radzi mu stanąć za forysia u „pani ze dworu", do koni,

drogi są dobre, nawet bardzo dobre,
jeździć się będzie gładko, jak po maśle.

Doktor na pytanie Wojtka, objaśnia go, że leczy dusze. Lecz Wojtek szeroko wyłuszcza mu, dlaczego w to nie wierzy, a filozofię prostą, chłopską o życiu i nieśmiertelności duszy przekonywa Doktora, że ta filozofia daje spokój i szczęście, których on — mimo bardzo uczonych badań nie znalazł. Wojtek mu tłomaczy, że jest to karą za to, że chciał kurować dusze. Wszak Doktor zna wszystkie księgi i wszystką uczoność, a przecie nie zna widać księgi jednej, schowanej w ukrytych miejscach pod siedmioma kluczami i siedmioraką pieczęcią.

W tej księdze
jest wypisano, że, kiej dusza cierpi,
to się tak czyści, jak w ogniu; a przecie
to najgłówniejsza, aby dusza była
czystą... I wiecie, ja w to mocno wierzę,
boć to jest prawdą, że Pan Jezus Chrystus
świat nasz wybawił przez cierpienie...

Mefisto się wzdrygnął, a Doktor zadumał, czemu teraz dopiero poznał prawdę w tej prostej szacie, teraz kiedy już djabłu duszę swą zapisał. Mefisto chciałby pomódz Wojtkowi do ożenienia się z gospodarza zamożnego córką, Julką, przyrzeka mu więc dużo pieniędzy, byle tylko podpisał dokument. Wojtek stanowczo dwukrotnie odmawia. Czemu? — bo najpierw pisać nie umie, a powtóre dlatego, że choć ma grzech śmiertelny z dziewczką — co djabeł już podpatrzył — to wierzy, że jak Chrystus odkupił wszystkie grzechy świata, tak i on swoje zmaże na wojnie, do której król wzywa dla obrony ojczyzny. Mefisto mimo to chce go porwać do piekieł, lecz Wojtek żegna go krzyżem świętym i ubezwładnia słowami: „Bóg jest tarczą moją".

Zjawia się następnie Wojewoda z dzieciczką, synem i kilkorgiem służby i łaje przed nimi i przed Wojtkiem żonę. Syn, dobywając szpady ruchem markiza z komedyi francuskiej, chce pomścić hańbę ojcowską, lecz ojciec krzyczy: „schowaj szpadę, to nasz parobek!" i każe służbie Wojtka wychłostać, a potem przywiązać do konia. Lecz Wojtek listkiem paproci ubezwładnia służbę, powtarzając, że krwią swoją okupi grzech, poczem Wojewoda się cofa i Wojtek znika.

Z zniknięciem tej sympatycznej postaci Wojtka-filozofa, obrazy dalsze, choć całkiem wyraźnie także wskazują na motywa głośne dzieł geniuszów dramatycznych, są już krótsze pośpieszniejsze i nie tak malownicze. Są więc tańce panien leśnych, potem Róża przychodzi obudzić ziemię, a nie chce tańczyć z niemi, bo jej „od młodu dawano w rękę pochodnię i miecz"; dalej Lilla, co „od młodu do słodkiej lutni przywykła i korowodu" chce dźwiękami ugłaskać gady, wśród których ojciec jej, Król Wenedów porzucony, wyczekuje zbawienia. I Róża (Roza Weneda) pochodnią i mieczem siać będzie spustoszenie, aby zatrzęsły się skały i rozżarzonymi sypnęły kamieniami na wrogów ludu Wenedów. Jawią się dalej przelotnie Śpiący Rycerze, obudzeni mieczem i pochodnią Róży, Pszczółka i Kalina rozprawiają, dlaczego ludzie toczą krwawe boje i smucą się że biała i cicha promienna Lilla musiała pójść wybawiać świat. Wreszcie zjawia się Obłąkana w orszaku płaczek; przyszła płakać na grobie ojca, który wróciwszy w zbroicy chwały, zastał w domu cudzołóżcę.

a cudzołóżca, podsyciwszy krew
żarem występnej miłości,
wyprawia do Hadesu między wieczne cienie
mego wielkiego chwalebnego ojca.

Obłąkana biada na stek nieprawości, do których wykonania bogowie wysyłają kobietę. Jest jeszcze postać urojonego króla, starca oszalałego z bólu, iż jego, sędziwego gazdę, rodzone dzieci wygnały z domu; jest postać wdowy, której córka, z niezmytą krwi plamą na czole, krzyczy, by wdowę-matkę wyszczuć psami.

Nakoniec zaświtało. Zjawia się król z orszakiem, a z nim i inne postacie „Baśni"; król wszystkim objaśnia że wszystkie ich niedole i zbrodnie były tylko snem. Niech się więc święci cudowny kwiat paproci, niechaj w dzień jasny, biały harfiarze, starcy z Lillą i Różą, kochankami pieśni, uderzą w struny na chwałę zwycięztwa! A śpiewacy niechaj wtórują im w cześć:

kwiatu paproci i nowego dnia
w cześć onej wielkiej i wspaniałej pieśni,
co sobie nowy wystawia przybytek,
by dać w nim siłę ludzkim namiętnościom,
a skrzydła złote tym ludzkim marzeniom,
by nam pokazać prawdę tych postaci,
których zaledwie nikłe, blade cienie
zobaczyliśmy przed chwilą....

Chór śpiewa więc pieśń podniosła na cześć kwiatu paproci, na cześć pieśni, co „sieje blask po rozłogach świata" i z duszy prostaczej wywabia miłosnych szeptów czar, „głos daje zbrodni, cnocie i rozpaczy, jest walką czynów i wspaniałych mar". Baśń kończy się słowami chóru:

O boża pieśni! o cudna paproci!
Ty w naszych sercach na wieki się pleń!
W niezgasłych blaskach niech się dzień twój złoci,
Nieustającej chwały jasny dzień.

(rs.)

Karuzel w Praterze.

(Dokończenie.)

— Cóż to chłopcze — zagadnął mnie wujaszek — nie jesteś ciekawy oglądać nagromadzonych tu dzieł sztuki?

— Ach, widziałem je już dwa razy — odparłem, uciekając się z konieczności spoczynku do kłamstwa.

Poczciwy wuj oglądał wystawę bardzo długo. Byłem z tego zadowolony, gdyż mogłem przynajmniej nieco spocząć. Potem byliśmy u marszałka na herbacie.

Oględziny osobliwości wiedeńskich trwały dziesięć dni z rzędu. Od rana do nocy cwałowałem z wujaszkiem po Wiedniu, z jednej dzielnicy na drugą, to tam, to tu, prosto, w zygzakach, dokoła wzdłuż i wszerz. W ciągu dni dziesięciu tylko przez jedno przedpołudnie byłem uwolniony a było to po wieczorze, kiedy marszałek objął rolę przewodnika i oprowadzał poczciwego wujaszka dla pokazania mu „Wiednia w nocy". Nazajutrz spał wujaszek do samego południa, znać musiał bardzo późno wrócić do domu. Gdzie był, nie mówił mi, a ja także naturalnie nie śmiałem go pytać o to. Tyle tylko podał do mojej wiadomości z tej nocnej wycieczki:

— Nie do uwierzenia, dalipan, co się w tym Wiedniu dzieje! a ładne te szelmy Wiedenki, łaszą się i pochlebiają jak kotki. Patrz chłopcze, żeby cię broń, Boże, nie skusiło!

Potem rezonował:

— A niechże ich djabli wezmą jaka drożyzna. Spotrzebowałem wczoraj przez jedną noc... hę... przez wieczór tyle, ile tobie posyłam miesięcznie — więcej nawet, bo przeszło sześćdziesiąt guldenów. Ale skąd marszałek, tak zajęty sprawami publicznemi, bierze jeszcze czas, aby to wszystko zbadać, poznać i zgłębić tak dokładnie? Jest to dla mnie wielka zagadka. A jak on zna wszystko ekspedyte, i jak jego znają — powiadam ci, jak lichy szeląg. Ma nawet swoją własną pieszczotliwą nazwę — *der blude Baron*. Co to znaczy „*blude*"? marszałek także tego wyrazu nie rozumie.

„*Blud*"—oznacza w narzeczu wiedeńskiem — odpowiedziałem — gruby, grubas.

— Zuchwały naród te Wiedenki.. hę.. hę — te Wiedeńczyki. Wyobraź sobie, jedna z nich — cóż u licha zawsze się mylę — jakiś jegomość mówił z nim przez „ty" „du" — „*du bluder Baron*" a nawet bez „barona" — „*du Bluder*"! jak gdyby z nim razem pasł świnie. Ha, kto wlezie między wrony... stare przysłowie... musi krakać jak i one.

Więcej z ust wujaszka nie wyszło, ale i to wystarczyło, abym sobie w wyobraźni dopełnił całokształt tej wycieczki po „Wiedniu w nocy". Próbowałem jeszcze czy nie zdołam wyciągnąć wujaszka za język, więc rzekłem:

— Wartoby jeszcze zwiedzić Orfeum, zakład Ronachera.

— O, nie. Wcale nie jestem ciekawy. Marszałek tak mi to wszystko dokładnie opisał — wiesz przecie, że to człowiek wielce wymowny — że mogę sobie przedstawić i „Orfeum" i „Ronachera" a nawet i nocną kawiarnię Seitza tak dokładnie jak gdybym tam był. Opis marszałka musiał być wielce nużącym, bo poczciwy wuj, nasłuchawszy się tych opisów, nie tylko spał do południa, ale także i po południu był widocznie zmęczony, tak, iż już zaniechał dalszych wędrówek po Wiedniu. Popołudnie całe przesiedział do wieczora w kawiarni, czytając dzienniki. Wieczorem tego samego dnia, pożegnawszy mnie serdecznie i wścibiwszy mi do ręki aż trzy dziesiątki, odjechał z Wiednia do domu.

W młodości prędko mija znużenie, w dni kilka potem zapomniałem był nawet o przebytych trudach, które niedawno temu tak srodze dawały mi się we znaki. W ruchu i wirze wielkiego miasta, w kołowrocie życia koleżeńskiego i zajęć wszechnickich zapomniałem o wszystkiem: o naszych cwałowaniach po Wiedniu i wogóle o odwiedzinach wujaszka, kiedy pewnego dnia doręczono mi następujący telegram:

„*Kup mi natychmiast karuzel w Praterze. Wysyłam na kupno 1000 guldenów, tobie zaś podwyższam miesięczną pensyę na 80 guldenów, które razem 1080 otrzymasz. Twój wuj Jan Chryzostom*".

Polecenie brzmiało jasno. Nie wahałem się też ani chwili, co mam uczynić a tylko pozwoliłem sobie zapytać się samego siebie: „Cóż u licha... po co wuj kupuje karuzel w Praterze?" „Mój Boże — odpowiedziałem sam sobie po chwili — czyż ja mogę wiedzieć, jaki on z tem łączy zamiar".

Otrzymawszy pieniądze udałem się do Prateru. Wspaniały to park nad wszelki wyraz. Słusznie zowią go Wiedeńczycy „wiedeńskim cudem świata" i są zeń dumni. Może on się równać z najpiękniejszymi parkami świata. Malowniczo rozrzucone gaje z polankami, wonne kobierce łąk udzierzgane barwnie kwieciem, szemrzące ruczaje, zieleniejące się pagórki, cieniste aleje — przedstawiają dla każdego dużo uroku. Tu Grillparzer pisał wzniosłą tragedyę miłości: „*Des Meeres und der Liebe Wellen*", Lenau nucił najtkliwsze swe pieśni, tu niezliczone pary miłosne gru-

chały i gruchają jeszcze w cieniu rozłożystych drzew, przysięgając sobie dozgonną wierność — tu *corso* wiedeńskiego *hi gt life* — okazała wystawa pysznych toalet, eleganckich powozów, bogactwa i wykwintności. Niedarmo zowie się ta część parku *„nobelallee“*. O kilkanaście kroków na lewo: inny świat, inni ludzie „Wurstel Prater“. Tu znowu rozbrzmiewa powietrze hałaśliwym odgłosem gwaru, wrzasku i rozmaitych, ze wszech stron zalatujących melodyj; tu lud bawi się i śmieje, śpiewa sobie wesoło, lub gwiżdże „tańce wiedeńskie“ i topi troski życia w pieniącem się piwie. Z tajemniczo rozmarzonych ciemnych konarów drzew kasztanowych w „nobelallee“, zalatuje miły szczebiot ptasząt, woń z kwiatów zdobiących klomby i perfumy z rozkosznego łona ponętnych dam — tu zaś w Wurstelpraterze — nikt wpośród pstrokatego zgiełku ludu nie usłyszy pienia ptaszego, ale natomiast tony muzyki zalatujące z każdej strony: od „damskich kapeli“, z karuzelów, „cyrku welocypedowego“, od „meluzyny“, o której prawdziwości przekonać się można przez dotknięcie“, od „proroka“ z „teatru pcheł“ — mięszające się nieharmonijnie ze sobą, jakoteż z przerażającym krzykiem „wywoływaczy“ przed rozmaitemi budami w wielce pstrą — *kakofonię*. „..... Panowie i panie proszę wejść, zaraz będzie przedstawienie, tylko dziesięć centów od osoby, dzieci płacą połowę, młodzieniec, który przyprowadzi ze sobą aż trzy dziewice naraz, ma wstęp zupełnie wolny, i otrzyma jeszcze osobno premię. Zobaczycie, moi państwo — niech panienka wejdzie tylko! proszę się nie żenować... fenomen nad fenomeny: morska dziewica z *„pontenksynu“*, o której pisał już grecki poeta Ovidé żyjący za czasów Faraonów. Dziewica cudownej urody, ciało jej w łuskach. Niewierny Tomasz może się przekonać. — Proszę tylko wejść, moi państwo, proszę wejść!“ A opodal znowu bębni inny wywoływacz i woła z natężeniem głosu aż do ochrypnięcia: „Łaskawi i najłaskawsi dobrodzieje, jaśnie wielmożne panie bez i z wielce szanownem potomstwem! Czcigodne panny a dziewice! Nie jest to żadna blaga, lecz wierutna prawda naukowa. Zakład nasz znany jest w świecie z swoich epokowych wynalazków na polu umiejętności i sztuki. Proszę tylko zbliżyć się łaskawie. Istna biesiada duchowa — pod słowem honoru. Łóżko elektryczne, budzące o pożądanej godzinie. Trzeba sobie tylko pomyśleć, kiedy się kto chce przebudzić a łóżko przebudzi. Każdy może się położyć i przekonać — łóżko elektryczne — elektrrryczne... cud świata, *hereinspaziert!*

Z wojny boerskiej. — Próba kliszy z kalendarza »Głosu Narodu«



Kawalerya lorda Dundonalda zbliżająca się do miastaLady brand w ostatniej fazie wojny.

Czego też niema w „ludowym Praterze“ zwanym pospolicie *„Wurstel-Prater“!* Panoramy, menażerye, produkcye „ludowych śpiewaków“ i „ludożerców“, różne „cuda“ i cudactwa świata, popisy gimnastyków, akrobatów, linoskoków, żonglerów, brzuchomowców; „bolcowe“ strzelnice, co krok muzyka, jedna wrzaskliwsza od drugiej; wodne, „nadpowietrzne“, elektryczne, parowe, ciągnięte przez konie i osłów karuzele, obwożące za pięć centów naokoło świata: *„montagnes russes“* i kabinety anatomiczne; huśtawki z *„mordspektaklami“*; „siłomierze“ — tu wskazywaczem siły małpa, tam znowu żyd — krzepki policzek zaaplikowany tamtej lub temu, wyraża w stopniach siłę — bawiącego się gbura; nietylko teatr, ale nawet i „cyrk pcheł“ i prorocy, czarodzieje, wróżbici, czarnoksiężnicy; okręty pływające po — lądzie, teatry maryonetek *(„wurstlów“)*, które nadały tej części Prateru nazwę. Nie brak cieląt z dwiema głowami, prosiąt z pięciorgiem nóg i osłów na dwóch tylko nogach — tych jest nawet całe stado. Podziw wielki budzą „chińczycy“ swojskiej marki, połykający palącą się smołę, ostry pałasz i żywego węża... biedacy żadną miarą nie mogą tylko połknąć japończyka. Chińczyk kokietuje z „piękną morawianką“ — Maryanka jej na imię, która w szesnastej wiośnie życia waży sześć cetnarów zwykłych, równych trzem metrycznym. Cóż dopiero „oryginalny Bułgar“ z Krametnensiedel, który wystrzelił w górę ośm i pół stóp, jeśli stoi na stołku stopę wysokim. Wszystko to furda w porównaniu do „gimnastycznego słowika Kanady“ *signoriny* Clementina Paddi, która balansując na trapezie śpiewa największe arye z oper „swoim znanym sposobem“, podczas kiedy *signor* Bombusto Pajacelli marquese de Capo, popisuje się w wyższej sztuce — brzuchomowstwa. Grucha on z dołu jak gołąb do wiszącej na trapezie signoriny, a ta odpowiada na erotyczne brzuchomowstwo wylewem gorących tonów, chwytającej za serce melodyi. Naprzeciw tej świątyni sztuki gra „kapela damska“. Dwanaście dziewic w bieli z szerokiemi i jak krew czerwonemi szarfami przez piersi. Ciągle w takt podskakując i podrygując stoi na czele smyczkującej niewieściej czeladki „sleczna“ Krt zwana mademoiselle Aimé kerté, bijąc co chwila takt smyczkiem na odwrotnej stronie skrzypiec. Od czasu do czasu tupie ona z temperamentem nogą w deskę podwyższenia na którem stoi, gniewna, iż hoża Milenka Wlk, operująca na bębnie, „wypada ciągle z taktu“, będąc kokietowaną przez mężczyzn siedzących przy stołach naprzeciw. Panna Krt, *dojrzała* artystka stoi na takiej wyżynie sztuki, iż nikt nie śmie tak wysoko podnieść wzroku. Natomiast wszyscy strzelają oczyma w stronę *pulchnej* i ponętnej niziny bębna i zamaszystej wydatności basetli. Prawdziwem „wyszydzeniem“ tych kapłanek Melpomeny jest umieszczenie zaraz naprzeciw psiego „kwartetu szczekania“. W takt skomlenia wyżłów odbywają się w knajpie obok podrygi: *„pas des princesses“* i *„la chuchotte“* strasznie wytrykotowa-



Dom polski w Ostrawie morawskiej.

nych, straszniej podstarzałych, i najstraszniej wychudłych „baleryn“ zowiących się „gwiazdami kontynentu“. Nagle zjawia się deus ex machina w postaci *clowna* z zupełnie zakredowaną twarzą i ogromnym czubem czerwonych włosów wysoko w szpic zczesanych, który pada plackiem na brudnem podium pomiędzy podrygające baletnice, używające przy *„chuchocie“* zamiast kastagnietów dzwonki, wydając piskliwy okrzyk *„si cosi et voila“*, co tak przeraża nerwowe baletnice, iż w mgnieniu oka leżą wszystkie pokotem na ziemi przywalając miłym ciężarem chudych swych cielsk błazna. Teraz rozświeca chmurę kurzu powstałego z upadku na deski — bengalskie oświetlenie, *Tableau*. Brawa, śmiechy — „ledwo karczmy nie rozwalą“. Co poczciwy wujaszek chce robić z karuzelem w takiem otoczeniu? Ale to jego, nie moja rzecz. Chodzę więc i oglądam karuzele. Idę najprzód do Kalafattiego, gdzie się kręci olbrzymi chińczyk podnoszący raz prawą, raz lewą rękę do góry.

— Czy pański karuzel jest na sprzedaż — pytam właściciela.

Właściciel jego leżąc wyciągnięty na murawie drzemał w cieniu drzew. Przebudził się na odgłos moich kroków.

— Pański karuzel spoczywa — zagadnąłem przecierającego oczy właściciela.

— Życzy pan sobie zrobić turę — rzekł kłaniając mi się — zaraz służę.

— Dziękuję — odparłem — zrobiłem tylko uwagę.

— Ach spoczywamy — ciągnął dalej — odkąd posadowił mi się pod bokiem kapitalistyczny konkurent ten oto olbrzymi amerykański karuzel. Prawie niepodobne z nim współzawodnictwo. Wszystko garnie się tam, a ja mogę sobie drzemać.

Zacząłem się bliżej przyglądać karuzelowi. W najlepszym stanie nie znajdował się bynajmniej. Jeden koń miał odbitą połowę głowy, drugi był tylko na trzech nogach a lokomotywie brak było komina. W dachu budy była dziura a pod nią wewnątrz kałuża z deszczu mającego wolny przystęp i spłukującego po drodze malowania karuzelu. Ale to wszystko może wujaszek łatwo i nie zbyt wielkim kosztem kazać naprawić.

Z wojny chińskiej. — Próba kliszy z Kalendarza »Głosu Narodu«.



Bitwa Japończyków z Chińczykami na polu bambusowem pod Tientsmen w lipcu 1900 r.

Ten mierzy mnie dziwnym wzrokiem od stóp do głowy, a w końcu powiada:

— Dlaczego nie, jeśli Pan dobrze zapłacisz.

— A ile pan żąda?

— Wszystko razem jak tu stoi pietnaście tysięcy, ale gospoda obok nie należy do tego.

— Za tysiąc guldenów nie można zatem nabyć?

— Czyś pan osz... — rzekł, urywając — żartuj Pan sobie zdrów z kogo innego — co powiedziawszy odwrócił się odemnie i poszedł. Ja także oddaliłem się.

Targuję drugi karuzel. Właściciel już.... już chce dobić ze mną targu, nagle parska śmiechem i pyta mnie:

— Co pan właściwie chce kupić? katarynkę, która przygrywa w karuzelu lub kurnik, który stoi za budą? Jeden i drugi przedmiot możesz mieć za tę cenę do wyboru.

Nie dałem żadnej odpowiedzi na ten ubliżający mej powadze żart. Milczenie pogardy jest także odpowiedzią. Idę więc dalej i jeszcze dalej. w końcu spotykam na ustroniu nie duży karuzel w stanie nieco defektownym i w zastoju spoczynku.

Pytam więc:

— Czy sprzedałbyś pan karuzel?

— A czy pan kupiec na to?

— Dlaczego nie? — jeśli cena przystępna.

— Bez targu ośmset dwadzieścia guldenów i wszelkie koszta sprzedaży, które co najwięcej wynieść mogą trzydzieści papierków.

— Zgoda — rzekłem — oto zadatek. Proszę mi tymczasem stwierdzić kupno i zadatek na ćwiartce papieru a jutro kontrakt u notaryusza i wypłata reszty ceny kupna.

— Dobrze — rzekł promieniejąc widocznie ze szczęścia i wszystko było w porządku.

Uradowany, iż udało mi się tylko spełnić zlecenie wujaszka ale nadto zaoszczędzić mu jeszcze 150 guldenów, powróciłem z Prateru do domu. Nazajutrz z rana zawiadomiłem telegraficznie wujaszka o szczęśliwie dokonanem kupnie.

Wujaszek odtelegrafował mi:

„Dziękuję. Oszczędzone stopięćdziesiąt guldenów zatrzymaj dla siebie. Karuzel poszlij mi pocztą. Kochający wuj Jan Chryzostom“.

Kiedy ochłonąłem z radości tytułem otrzymanego podarunku od poczciwego wuja spostrzegłem, iż depesza zawiera niejasny ustęp mianowicie; „Poszlij mi karuzel przez pocztę“. Usiadłem do biurka i napisałem wujaszkowi wyczerpujące sprawozdanie z ponowną uwagą, iż wysłanie karuzelu pocztą jest niepodobieństwem.

W cztery dni po wysłaniu listu otrzymałem depeszę następującej osnowy:

Miałem na myśli wystawiony w „salonie“ obraz: „Karuzel w Praterze“. Odeszlij mi pozostałe sto pięćdziesiąt guldenów. Karuzel możesz sobie zatrzymać. Zamarynuj go! Niewarto z durniami zaczynać: Wuj: Jan Chryzostom.

„Cyrce“ St. Rossowskiego.

Nie mało zainteresowania w Krakowie, w tym Krakowie, który bywanie w teatrze uważa niejako za jedną z koniecznych potrzeb życiowych, wzbudziła wieść, że dyrekcya naszego teatru ma zamiar wystawić fantazyę dramatyczną St. Rossowskiego „Cyrce“...

Nazwisko Rossowskiego, tego poety dziennikarza, znane w świecie literackim dawało gwarancyę, że fantazya, która wyszła z pod jego pióra, nie jest tuzinkowym utworem...

I istotnie „Cyrce“ w pomyśle i wykonaniu ma owe „coś“, co tchnie oryginalnością i odrębnym indywidualizmem.

Dyrekcya teatru promierę tej sztuki zapowiedziała na resztę soboty, lecz w ubiegły czwartek zmuszoną była odroczyć termin pierwszego przedstawienia, gdyż cenzura krakowska „ze względów etycznych“ nie pozwoliła na wystawienie „Cyrce“...

Warto się jednak zapoznać z ogólną treścią tej fantazyi, rzucając równocześnie „nieprzemakalną“ zasłonę na to, co cenzura uznała za sprzeczne z „etycznymi względami“.

„Cyrce“, bogini rozkoszy, która powabem swych wdzięków i czarem szalonej rozkoszy na tyle lat przykuła do siebie Odysseusa, opuszczona przez niego, zapadła w sen głęboki...

I leży ta Cyrce na śnieżnem, miękiem łożu w swej kryształowej grocie. Setki lat już minęły od czasu, gdy Odysseus wyrwał się z jej uścisków, a ona leży w całym blasku piękności, jaki daje młodość i czar kobiecy, śniąc o minionych chwilach rozkoszy i o kochanku, który porzucił ją dla śmiertelniczki...

I zdaje się jej, że ten niewierny znów jest koło niej: rozchyla usta do pocałunku, a ciałem jej wstrząsa dreszcz rozkoszy...

Z snu rozkosznego budzi ją wysłaniec boga bogów Hermes.

Zeus tonący w szale rozkoszy, ocknął się, spojrzał ze szczytu Olimpu i, zdziwiony, dojrzał, że na ziemi, w czasie gdy on wraz z innymi bogami pił z kielicha rozkoszy, znak krzyża rozpostarł swe panowanie.

Zeus ocknął się i postanowił zwalczyć nieprzyjaciela, który pozbawił go władzy, i znów ująć w swe dłonie ster rządów świata...

— Rozkosz i złoto — złoto i rozkosz mają mu zapewnić zwycięstwo.

Władca Olimpu wydał rozkaz, by Hermes wraz z uroczą Cyrce stanęli do boju..

Oto powód, dla którego Hermes zjawia się w kryształowej grocie bogini rozkoszy.

Cyrce posłuszna woli swego władcy, zrzuca z swych ramion śnieżne *peplum*, z pod którego tak uroczo przebijały się jej wspaniałe kształty, zakuwa się w gorset i inne akcesorya, które modne kobiety uważają za niezbędne, i przystrojona w najświeższą toaletę paryską z parasolką w ręku wraz Hermesem, który także przybrał strój ziemskiego eleganta, spuszcza się na ziemię.

I oto zaczyna się walka Olimpu ze znakiem krzyża.

Cyrce wznieca na świecie żądzę rozkoszy, darzy nią ludzi, lecz zarazem sama jej szuka, sama goni za tą znikomą, nieuchwytną marą. W szalonej tej pogoni napotyka Cyrce na swój rzekomy ideał. Jest nim „młody starzec“, zblazowany, zniszczony życiem arystokrata. Cyrce rzuca mu pod stopy swą miłość, swą i-tność i... szuka w jego objęciach tak pożądanej rozkoszy.

Lecz „ideał“ Cyrce na jej uczucie na jej szał odpowiada cynicznem: *„cette femme est jolie — c'est bon“* powiada sobie z sarkazmem i zrazu pasie się dziką

namiętnością Cyrce, a następnie bez żalu, za pewnem wynagrodzeniem odstępuje ją starej megerze. Sprzedana w ten sposób Cyrce dostaje się prostą drogą do jednego z drugorzędnych *caffés chantantes*: na rozkaz właściciela tego zakładu gra rolę Afrodyty: i występuje naturalnie w kostyumie, który zwykle nazywa się zupełnem brakiem ubrania. Odsłona ta zapewne nie przypadła do gustu cenzurze, a może właśnie dlatego, że nakreślona jest z niezwykłym talentem i z całą znajomością stosunków, panujących w tego rodzaju w kawiarniach. Autor, choć w półsłówkach ale z całą plastyką zdołał przedstawić całą grę tych najniższych instynktów człowieka: chciwość gospodarza, zmysłowość na pół pijanych, szukających wrażeń i podniecenia, gości w ostrych rysach odbijają się od cichej rezygnacyi wciągniętych w to piekiełko kobiet i od rozpaczliwej walki o wolność tych, które jeszcze nie zdołały pożegnać się z myślą o tem, że jest jeszcze inne życie, życie spokojne, nie pozbawione co prawda zmartwień i zawodów, ale przynajmniej nie tak nędzne, nie tak podłe.

Cyrce i tu, w tem śmietnisku goni za złudną marą rozkoszy, lecz widząc, że tu jej nie znajdzie, a nie mogąc nagiąć się do wiecznej komedyi „miłości“, ucieka i... przybywa do Hermesa.

Pan Hermes, który jako bóg kupców i złodziei z góry otrzymał od Zeusa polecenie, aby zapomocą złota przywrócił mu ster rządów świata, jako bogaty przemysłowiec znajduje się właśnie w niemałym kłopocie. Otoczony garścią ludzi, dla których pieniądz jest bożyszczem, zapomniał, że pieniądz ten dla każdego ma niepospolity urok a przedewszystkiem dla tych, co, pędząc życie w śród nędzy i troski o jutro, muszą się przypatrywać zbytkowi otaczającemu wybrańców losu. Robotnicy w zakładach przemysłowych, będących własnością Hermesa, buntują się; nie widząc innego źródła do polepszenia swego bytu podejmują strejk. Lecz Hermes nie myśli skłonić się do ich próśb, nie chce zastosować się do ich życzeń.

W chwili gdy Cyrce zjawia się u Hermesa, wpada do jego pomieszkania deputacya ze strony robotników, którzy nie są już w stanie znieść skutków strejku, ale równocześnie nie chcą ustąpić swemu pracodawcy. Na czele deputacyi stoi młody pełen życia i zapału robotnik przywódca strejku. Młody przywódca z całym ogniem duszy młodej, rwącej się do czynu i życia, z całem przeświadczeniem o słuszności sprawy, w której obronie występuje, stawia przed oczy Hermesa obraz niedoli robotników; w porywających słowach piętnuje wyzysk bezbronnych ciemnych biedaków i wzywa go, aby w tej sprawie kierował się sprawiedliwością poczuciem ludzkości.

Zapał przewódcy udziela się i Cyrce. Tak! tak! tylko ta ognista młoda dusza może dać jej zadowolenie, może dać jej rozkosz, tę rozkosz do której ona drży, której pożąda. Z okrzykiem miłości Cyrce rzuca się w objęcie młodego przywódcy; szyję jego oplata śnieżnemi ramionami, usta jego okrywa gorącymi pocałunkami.

Na obliczu Hermesa wykwita uśmiech zadowolenia; chciał i spodziewał się, że Cyrce postąpi w ten sposób, że zgniecie tę potęgę duszy młodzieńca swym czarem.... A wódz robotników w uściskach Cyrce słabnie.... zamilkł, ze wzrokiem przymglonym nie czeka na odpowiedź Hermesa, lecz za pocałunki Cyrce płaci jej tą samą walutą.... A Hermes drwiąco rzuca robotnikom odmowną odpowiedź.

Wódz robotników ocknął się, wyrwał się z objęć rozkoszy. —

Stokroć większa rozkosz walczyć w obronie uciemiężonych, niż spać spokojnie na łonie kochanki. —

Ta myśl budzi się w jego duszy.... Czuje się jednak słabym, czuje, że może uległby poraz wtóry pokusie: czarowi tej kobiety. — „Zniszczyć tę pokusę, zgładzić ją ze świata“, to druga myśl, która jak błyskawica przesuwa mu się przez mózg; w ślad za myślą idzie czyn: Cyrce przebita sztyletem pada u stóp jego.

A tymczasem okna pokoju czerwieni blask łuny; do uszu Hermesa dochodzi głuchy ryk nadchodzącej burzy... to robotnicy, dowiedziawszy się o odpowiedzi Hermesa palą jego zakłady fabryczne, niszczą jego mienie i idą, jak szalony huragan mścić się za wyzysk, za krzywdy.... Już idą, już idą, już słychać ich groźne okrzyki.

— W ubogiej chatce, gdzie nędza wycisnęła swe piętno, siedzi stary robotnik; brak sił do pracy, brak mu sił do buntu, a śmierć stroni od niego. Wsłuchany w okrzyki braci nie zauważył, że drzwi się otworzyły, że weszło kilku robotników, dźwigając jakąś skrzynię.... Rabowali mienie pańskie dla siebie, ale nie zapomnieli o starym koledze.... Pierwsza lepsza skrzynia, którą napotkali przeznaczoną została dla zaspokojenia potrzeb zniedołężniałego starca. Ciekawe, co się dostało staremu? Otwierają skrzynię i nagle stanęli jak wryci. W skrzyni leżało pół martwe ciało kobiece cudnej piękności z głęboką raną w piersiach.

To Cyrce.... Ułożono ją na łożu, zaczęto ją przywracać do życia.... I Cyrce leży, niby śni, niby marzy.

Rozsuwają się ściany chatki; Cyrce widzi znów swe dawne schronisko, swą kryształową grotę. A w grocie tej stoi postać świetlana, z uśmiechem dobroci na twarzy, patrzy na Cyrce i słodkim głosem poucza ją o prawdziwej nadziemskiej rozkoszy cierpień i poświęcenia...

Taką jest mniejwięcej treść baśni dramatycznej Rossowskiego. Nie wdając się w szczegółową ocenę tej sztuki, która ma swoje *pro* i *contra*, przyznać trzeba, że napisaną jest z niemałym talentem; zwłaszcza niektóre jej ustępy, jak np. sceny w tinglu, walka wewnętrzna przywódcy robotników, są pełne siły i ekspresyi. — Nie brak naturalnie i miejsc słabych. Długa tyrada włożona w usta postaci, która ukazuje się Cyrce, gdy leży na łożu śmiertelnem nie robi na czytelniku wrażenia, bo autor nie przejmuje się jej słowami, jej treścią, bawiąc się raczej dźwiękiem i grą wyrazów.... „Cyrce“ jest pisana wierszem, bardzo gładkim, dźwięcznym mile wpadającym w ucho; dyalogi są nader ożywione nie zbyt długie, i, co jest rzeczą wielkiej wagi, wcale nie przeładowane zwykłymi banalnymi frazesami.

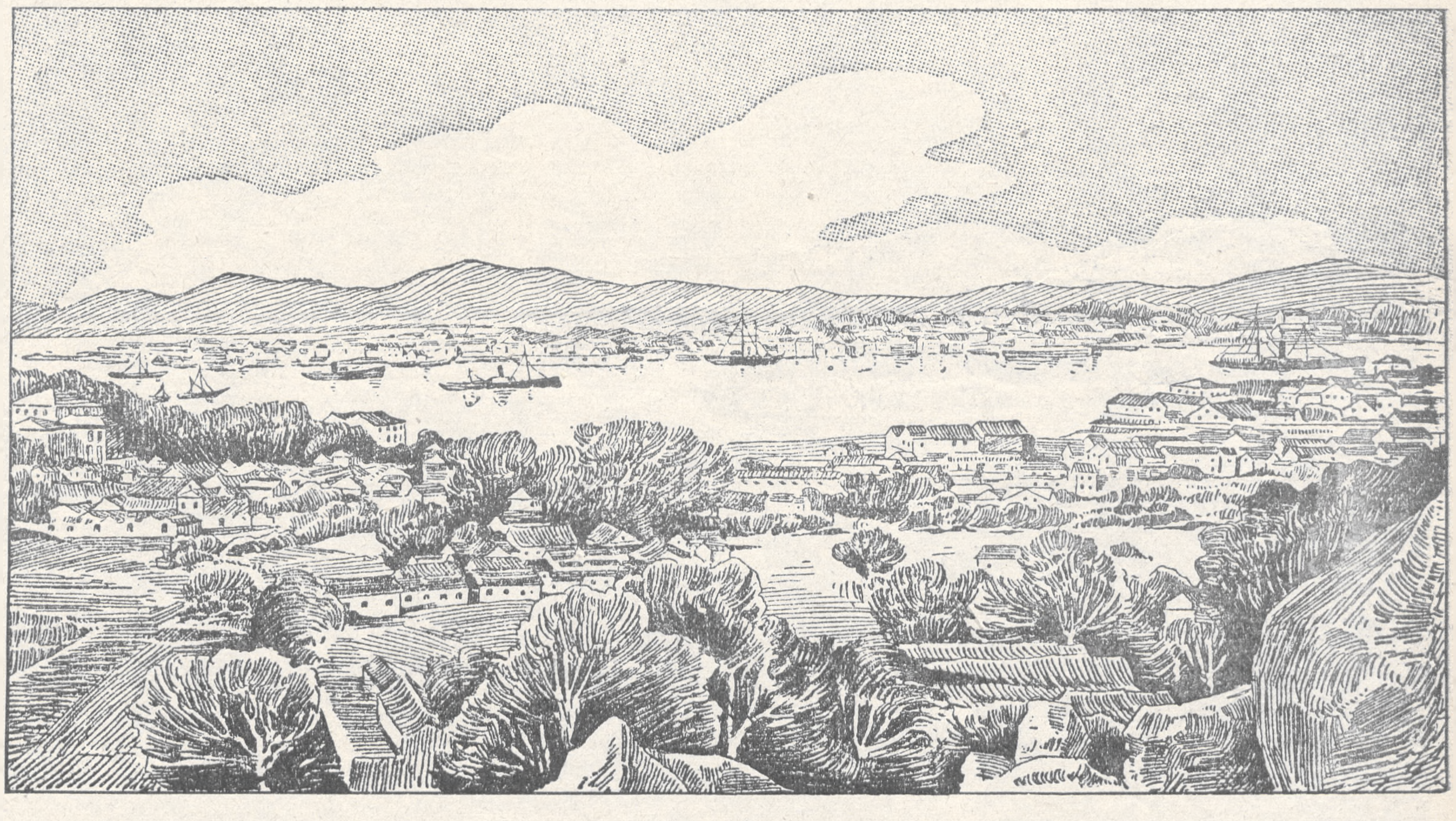
Rozumie się, że sztuka p. Rossowskiego w czytaniu, nie przedstawia się tak powabnie, jakby się przedstawiała ze sceny, choćby dlatego tylko, iż w czytaniu trudno sobie uzmysłowić te efekty sceniczne, które tworzy umiejętna wystawa dekoracyjna, nie mniej jednak przyznać trzeba, że „Cyrce“ jest jednym z najlepszych utworów Rosowskiego, i że zyskałaby niezawodnie popularność i wdzięczność u publiczności....

Opowiadają, że cenzura krakowska nie dopuściła do wystawienia „Cyrce“ tylko skutkiem suggestyi. Rossowski wysłał swą „Cyrce na ostatni konkurs dramatyczny Wydziału krajowego. Sędziowie przyznali „Cyrce“ o wiele większą wartość niż innym sztukom, nie nagrodzili jej jednak, a za powód podano obawę przed niecenzuralnością „Cyrce“.

Delegat Laskowski w ostatniej chwili przypomniał sobie to orzeczenie konkursowych sędziów.... Sam więc przeczytał „Cyrce“ i wydał zakaz wystawienia tej sztuki, skutkiem czego niestety dyrekcya musiała odwołać „Cyrce“ a uraczyła publiczność „Poddanką“.

K. Królicki.

Z wojny chińskiej.



Port Amoy.

Historya zakonu OO. Jezuitów w Polsce.

H. St. Załęski T. J., Jezuici w Polsce. Tom I. Walka z różnowierstwem 1550—1608. Część I. 1555—1586. Lwów, drukiem i nakładem drukarni ludowej, 1900. w 8-ce wielkiej, str. XVI + 446.

Zaczyna wychodzić dzieło w 5 tomach, opracowane na tle dziejów polskich, p. t. Jezuici w Polsce. Sam tytuł jego zaciekawia czytelnika, a pociąga znane zaszczytnie imię autora, który na tem polu pracuje od lat kilkudziesięciu. Dzieje Jezuitów w Polsce to znaczna część dziejów Polski samej. Potężny zakon zaważył silnie na wszystkich gałęziach i — polach życia narodowego.

Codopiero ukazała się pierwsza część tomu pierwszego, część druga tegoż tomu wyjdzie, jak prospekt zapowiada, w styczniu r. 1901. Cena całego I tomu wynosi 10 koron Tom II. obejmie 42-45 arkuszy druku i wyjdzie z pod prasy w lipcu 1901 roku i będzie kosztował 8 koron. Tom III. objętości 70 arkuszy druku opuści prasę w grudniu 1901 roku a cena jego będzie wynosiła 12 koron.

Trzy te tomy stanowią dla siebie całość, opowiadają na tle dziejów narodu ogólną historyę Jezuitów polskich od r. 1555—1773. W drodze prenumeraty cena ich wynosi tylko 20 koron czyli 20 marek. Zgłosić się można wprost do autora: Lwów, pl. Trybunalski 2.

Tom IV. przyniesie nam dzieje 156 kolegiów i domów Jezuitów polskich od r. 1565—1773. a tom V. wreszcie będzie ułatwia szerzenie się różnowierstwa. Z werwą kreśli autor w dalszym ciągu dolę i niedolę ludu mieszczańskiego i wiejskiego, czerpiąc wszędzie swe wiadomości bądźto z pierwszorzędnych źródeł bądź też z poważnej literatury.

Dawszy nam poznać Polskę za Zygmunta Augusta, przedstawia nam autor z drugiej strony zakon OO. Jezuitów, jego organizacyę i zarząd w najdrobniejszych szczegółach, pisze o planie nauk, jego historyi, o celu i zadaniu, o wykształceniu moralnem i naukowem profesorów, rozbiera szczegółowo przedmioty nauki szkolnej, odsłania nam wychowawczą działalność szkół jezuickich, która czytelnika w wysokim stopniu zaciekawia.

Na tle tak barwnie i zamaszyście nakreślonem, na którem po jednej stronie widzimy Polskę Zygmunta Augusta, po drugiej stronie potężny Zakon OO. Jezuitów, przedstawia nam autor pierwszych Jezuitów w Polsce i pierwsze ich polskie kolegia. Trudno nam w tej krótkiej wzmiance sprawozdawczej kusić się choćby o pobieżne streszczenie całych długich rozdziałów. Dość wspomnieć, że długi rozdział piąty przynosi nam dzieje Jezuitów w Polsce za Zygmunta Augusta i za obu bezkrólewi i krótkich rządów Henryka Walezego, a rozdział VI historyę ogólną zakonu za Stefana Batorego, a rozdział końcowy VII traktuje o misyi Jezuitów polskich w Szwecyi. Oto jest krótki pogląd na treść pierwszej części tomu pierwszego, książki, która sama dla siebie stanowi zaokrągloną całość. Na rezultaty naukowe zgadzamy się z autorem z małymi wyjątkami. Uderzyło nas np., że zwalił winę

traktował o kasacie Jezuitów w Polsce (1773—74), o zachowaniu ich na Białej Rusi (1773—1820), o Jezuitach w Galicyi, na Szląsku i w Księstwie Poznańskiem (1820 — 1900).

Jak widzimy będzie to dzieło kolosalne. Autor zrobił bardzo dobrze, że nabycie tych tak bardzo zaciekawiających książek uprzystępnił drogą prenumeraty.

Tom I., który przed nami leży przeczytaliśmy jakby powieść jaką, a przecież to nie powieść, tylko dzieło na całej linii naukowe, książka historyczna, oparta na szerokiem zbadaniu i przerobieniu źródeł i odnośnej literatury. Podziwiać trzeba autora, który z taką swadą, rzadką w dziełach poważnych, umiał nam opowiedzieć czasem najzawilsze kwestye.

Wglądnijmy w szczegóły. W rozdziale pierwszym przedstawia nam autor Polskę w chwili przybycia Jezuitów w r. 1564, pisze o konstytucyi polskiej, o upadku władzy królewskiej i o wszechwładztwie szlachty. Dalej czytamy o politycznem znaczeniu reformacyi dla Polski, o tolerancyi religijnej i o wadliwości konstytucyi polskiej. Idzie za tem bardzo zajmujący, z wielką plastyką nakreślony obraz, przedstawiający nam charakterystykę szlachty polskiej. Nowinki religijne, idące do Polski różnemi drogami, szybko się między nią szerzą. Sprzyja im obniżenie się ducha kościelnego w episkopacie i obojętność króla w wierze, a brak wykształconego kleru i — szkół katolickich za nieuregulowanie sprawy następstwa po Zygmuncie Auguście „na reformacyę“ tylko, gdy tymczasem na niezałatwienie tej piekącej kwestyi złożyły się rozmaite okoliczności. Za wielką zasługę autora, a zaletę książki poczytujemy jej poczytność. Można czytać rozdział po rozdziale, a czytelnik nie czuje znużenia, ujmuje go styl śliczny, przejrzystość układu i bardzo potoczysty, a przekonywujący sposób argumentowania.

Życzymy Czcigodnemu Autorowi, aby dokonał dzieła w oznaczonych terminach. Zajmie ono w naszej literaturze historycznej bardzo poważne miejsce i wypełni dotkliwą w niej lukę, a pomnoży w wysokim stopniu zasługi literackie prowincyi OO. Jezuitów. Z szczególnym naciskiem podnosimy tę okoliczność, iż autor umiał ominąć niebezpieczeństwo stronniczego przedstawienia rzeczy. Zdań przeciwników zakonu nie pomija, owszem rozprawia się z nimi przy każdej sposobności.

Mówi się wiele o OO. Jezuitach, o ich działalności, mówi się bez znajomości rzeczy, na chybi trafi. Kto szuka prawdy, niech czyta, autor odsłania nam wszystkie karty historyi zakonu. *K.*

„Pięść miłości ojczyzny“.

Tajne stowarzyszenie „Wielkiego kułaka“ czyli boxerów, mające siedlisko swe główne

w prowincyi Kantonu, nosiło pierwotnie nazwę *Czerwonego Abażuru, Dzwonu złotego i Wielkiej wody*. Obecnie członkowie nazywają się wzajemnie *Wymierzającymi Ciosy Pięścią Miłości Ojczyzny*, albo w skróceniu sektą „Wielkiego kułaka“. Anglicy przetłumaczyli nazwę tę na boxerów. Sekta owa szybko się rozwinęła i wystąpiła otwarcie pod trzema postaciami zwykłemi powstaniom chińskim: rozboju, buntu przeciwko władzom i powstania przeciwko cudzoziemcom, *amgneo*, t. j. ludziom o czerwonych włosach, jak ich nazywają w gwarze ludowej.

Przezwiska sekt tajemnych, mających za zadanie przywrócenia niezawisłości narodowej, odkąd Chiny podległy jarzmu Mandżurów — są zagadkami, które mogą być rozwiązane tylko przez wtajemniczonych wyznawców. Oto ważniejsze z nich:

San-Ho-Hoei, trójprzymierze nieba, ziemi i ludzi.

Chim-Lien-Kiao, sekta lilii błękitnej (?).

Pai-Lien-Kiao, sekta lilii białej, albo nenufaru.

Nien-Tu-Kiao, sekta głowy wołowej (?!).

Hung-Yang-Kiao, sekta słońca.

Vu-Xang-Lao-Mu, sekta bez matki przyrodzonej, to znaczy, że każda jednostka należy tak wyłącznie do społeczeństwa, iż zrywa wszystkie węzły najświętsze dla chińczyków: uszanowanie i posłuszeństwo dla rodziców.

Mim-Tum-Kiao, sekta najznakomitszej szlachty.

Tsing-Ha-Mun-Kiao, sekta czystej herbaty (?).

Koam-Mao-Kiao, sekta żółtej czapki.

Po-iun-Tsum, sekta początku biodra nagiego (!).

Siao-Tao-Kiau, sekta szabli krótkiej, a nakoniec

Taiping-Kiao, sekta wielkiego uspokojenia, która w latach 1851—1862 spowodowała 2 miliony ofiar i kosztowała życie wielu oficerów i marynarzy francuskich, broniących przeciwko niej Shanghaiu. Sekcie tej należy się wzmianka obszerniejsza:

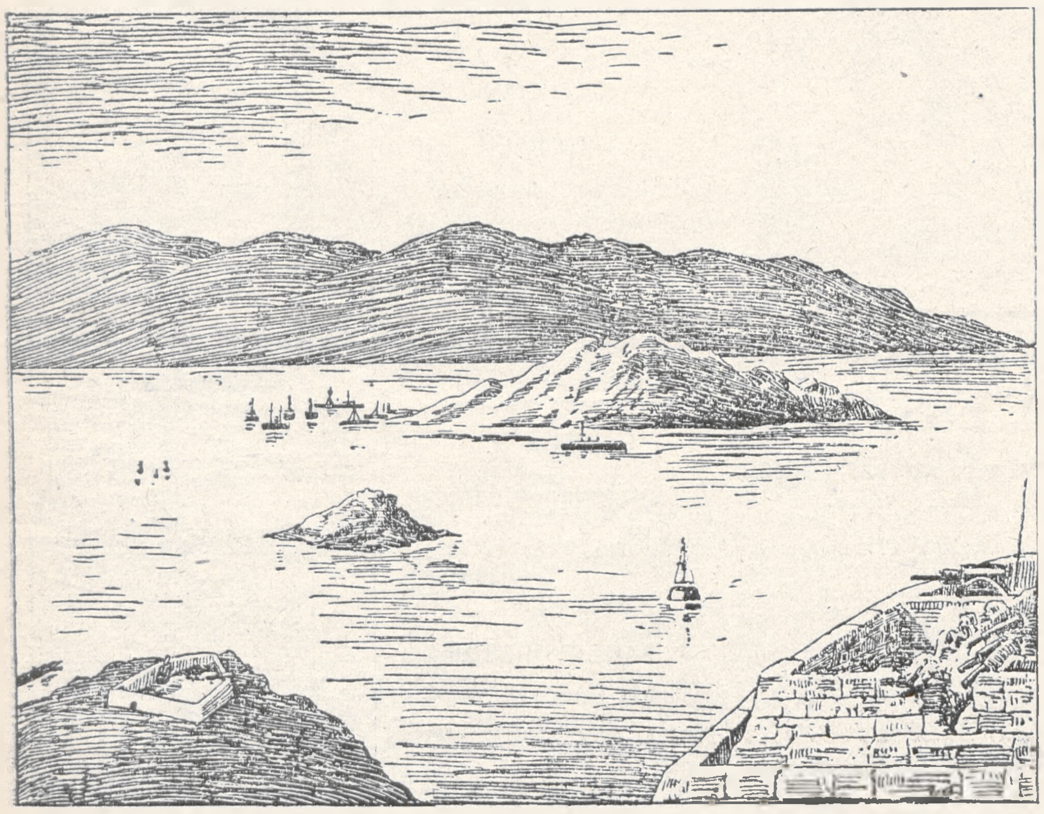
Powstanie Taipingów przygotowane i kierowane przez swego przewódzcę, *Hung-sen-Tsuena*, urodzonego w Kantonie, ze skromnej rodziny rolniczej — głosiło z początku, że jest przeznaczone od Boga „Ojca niebieskiego“ do ustanowienia Chrześciaństwa w Chinach i obalenia dynastyi panującej. Dla zaznaczenia tego charakteru zarazem religijnego i politycznego, wzięło za sztandar swój krzyż, a za godło: niech żyją Mingowie, śmierć Tsingom! Mingowie bowiem są dynastyą chińską, która upadła w 1644 roku, kiedy zwyciężyli Mandżurowie i osadzili na tronie dynastyę Tsingów, obecnie panującą.

Mniemany Chrystyanizm sekty, będącej właściwie szalbierstwem, a której praktyki religijne podobne były do mahometanizmu i mormonizmu — znalazł w Anglii obrońców a nawet stronników. Złudzenie szybko się rozwiało, gdy ujrzano, jak Taïnpingowie poczęli opanowywać miasta, wcielać najlepszą część ich mieszkańców do swoich szeregów i przebiegać kraj cały jak chmura szarańczy, nie zostawiając nic za sobą, prócz ruin i zgliszczy.

Taipingowie, jakeśmy to już wyżej wspomnieli mieli w szeregach swoich licznych cudzoziemców-awanturników, z których najgłośniejszymi byli: Amerykanin Burgwine i Anglik Walker. Pierwszy został zabity; drugi niezadowolony z rodzaju oznak wdzięczności, okazywanej mu przez powstańców chińskich — umknął od nich i sam oddał się w ręce kapitana jednego z okrętów angielskich, który go wywiózł na galery.

Powstanie obecne Wielkiego Kułaka czyli jak je nazywają Anglicy, Boxerów — będzie miało niewątpliwie także swoich Burgwine'ów i Walkerów, gdyż kraj tak bogaty i podlegający tak straszliwym wstrząśnieniom zwabi awanturników, nie liczących się z niczem, zachęconych może przez dyplomatów, łowiących ryby w mętnej wodzie. Zaledwie sekta Taipingów została rozprószona wraz ze swym wodzem Thianwangien t. j. Królem Niebieskim, Gdy Chińczycy Mahometanie *(Hoeï)* tworzący sektę oddzielną, powstali w prowincyach chińskich Azyi środkowej.

Z wojny chińskiej.



Port Wei-hei-Wei.

Z TEATRU.

Dama dworu, komedya w 4 aktach Thilo von Trotha, grana pierszy raz w teatrze krakowskim 22 września.

Poddanka sztuka w 4 aktach Juliusza Case, grana po raz pierwszy 29 września 1900.

Ilekroć z mego, dość nieraz dotkliwie odczuwanego obowiązku zajmę wygodny fotel sprawozdawcy teatralnego od czasu „nowego sezonu“ — muszę zawsze najpierw rozmyślać na temat znaczenia pieniądza wogóle, a w takiej instytucyi jak teatr w szczególności, a potem o różnych teoryach form rządzenia, począwszy od Hobbesowego monarchizmu, skończywszy na Fourrierowskich falansterach. Plączą mi się po głowie wypadki dziejowe z czasów rzymskich tryumwiratów, które dyablo dały się we znaki państwu rzymskiemu, to znów z bliższych dziejów sławny „pokój dam“ widomy obraz zdolności niewiast do rządzenia, a wreszcie „bon mot“ Vauclin'a z „Safandułów“: „Z tymi ludźmi nic bez despotyzmu“. Z tej mieszaniny wyobrażeń i wspomnień wyłania się nareszcie kwestya w formie pytania: „Czy dobrze jest, jeśli oszczędność wynika nie z systemu racyonalnej gospodarki, ale ze stanu konieczności znanego pod nazwą „braku gotówki“, oraz czy dobrze jest, jeśli prócz tego ster rządów spoczywa w ręku republiki „trzech“, z których jeden ma artystyczną duszę, ale nie ma pieniędzy, drugi ma trochę pieniędzy, ale nie ma duszy, a trzeci..., nie mając ani jednego ani drugiego, ma tylko... pensyę.

Odpowiedzieć sobie teoretycznie na te pytania zwykle nie mam czasu: przerywa moją kontemplacyę albo uderzenie orkiestry trzynastego pułku, albo interpelacya mojego sąsiada, albo ożywiony ruch w trzeciej parterowej loży na prawo, albo wreszcie podniesienie kurtyny, naszej przepięknej kurtyny Siemiradzkiego, tu i owdzie kunsztownie uzupełnionej pędzlem p. Spitziara.

Dopiero po przedstawieniu, wracają refleksye ze zdwojoną siłą, a uspokaja je dopiero nowe polskie „jakoś to będzie“, nadzieja na najbliższą sobotę... nadzieja dotychczas zwodnicza.

Otóż i „Dama dworu“ sklecona tu i ówdzie zgrabnie i bez talentu z szeregu przenicowanych efektów i sytuacyi, ale wiejąca starzyzną. Stary Sardou potrafił jeszcze mocą swego talentu dać nam „Madame sans Gêne“ postać nie nową, ale odświeżoną przedziwnie zwłaszcza imponująco pięknem tłem zawsze pociągającej napoleoniady. Pan Thilo von Trotha zabrał się do napisania sztuki, obliczywszy się ze wszystkiemi zaletami dusz Niemek i Niemców, a więc z uwzględnieniem a priori: czułości „cnót domowych“ niemieckich baronów, pruskiego munduru, książątek na jednej mili kwadratowej i t. d. Nie dziw, że lepianka ta zwłaszcza na polskiej scenie... nie mogła zrobić dobrego wrażenia.

Jeżeli już koniecznie tak być musi, aby pruskie genialności ozdabiały repertoar nowej narodowej sceny (może dlatego, że nie potrzeba nowych dekoracyj) to niechże widzimy rzeczy o wartości literackiej lub scenicznej. To roszczenie zawsze mamy i mieć będziemy względem każdej dyrekcyi, choćby nawet tak sympatycznej co do samego dyrektora Kotarbińskiego, jak dzisiejsza.

Treść „Damy dworu“ nie bogata. Baronówna von Hohenstein (Niemcy lubią wdrapywać się na wysokości) wychowana na wsi, na swobodzie z otoczeniem poetycznej przyrody z tkliwym niemieckim, księżycem, ale z bujnymi końmi i psami — zostaje nagle dla wyższych względów „Damą dworu“ jakiegoś małego książątka niemieckiego. Nie może się przystosować do wymagań otoczenia, ani wcielić się w duszę „dworu“ — popada w różne kolizye i podejrzenia, głównie z powodu, że jej temperament i swoboda zwracają odrazu na nią oczy samego księcia...

Ale tylko oczy... Książe niemiecki kocha niemiecką księżniczkę i jest jej wierny, zwłaszcza że księżna matka ma tam „coś“ przeciw małżeństwu księcia z jego ubóstwianą księżniczką Elżbietą – zapewne ze względów dyplomatycznych. Hrabianka Hohenstein wzruszona jest miłością usychających za sobą serc książęcych, ułatwia im zatem schadzkę w swojem mieszkaniu. Z tego powodu ściąga na siebie to niewinne pisklątko podejrzenie księżnej-matki, że zastawia sieci na niewinność księcia-syna. Hrabianka Hohenstein dostaje dymisyę pod ciężkim zarzutem niemoralnego zachowania się na dworze książęcym (!?) a nie może obronić się przed potwarzą... bo przyrzekła kochającej parze tajemnicę.

Ale od czegoż czułe niemieckie serce autora. W czwartym akcie wszystko się wyjaśnia (choć widz wie jak wszystko będzię już po drugim akcie) książęce serca łączą się na „wierne“ życie, baronówna Hohenstein wychodzi za ładnego adjutanta w pruskim mundurze z austryjacką szablą, wyswatana przez samego księcia. Wyobrażam sobie, że w tem miejscu rozlega się w niemieckich teatrach łkanie z rozczulenia, spływają łzy ulgi dla naprężonych dusz ciężko myślących Niemek. Artyści grali poprawnie. Najlepszym był p. Kamiński który z małej epizodycznej roli ministra von Bachen stworzył wykończoną postać dworaka dyplomaty. Pani Morska sumienna jak zawsze grała hrabiankę Hohenstein zupełnie w duchu autora. Pani Wojnowska jako hrabina Birkenfeld była wyborna. Rola księcia niewłaściwie przypadła p. Zawadzkiemu. P. Przybyłowicz trochę przesadzał. Role pp. Kotarbińskiego i Mielewskiego mdłe i niewyraźnie nie dawały artystom pola do popisu.

W roli księżniczki Elżbiety wystąpiła pani Łazarewicz. Grała spokojnie, jednolicie, bardzo sympatycznie. Sądzę, że wreszcie w tym wypadku, w szeregu nowych sił uczyniła dyrekcya dobry wybór.

„Poddanka“ Juliusza Case jest lichotą. Ma to niby być walka dwóch dusz, męższczyzny kochającego swą żonę, ale wymagającego od niej poświęcenia i cnót domowych i żony która oszołomiona doktryną o samodzielności ani słyszeć nie chce o życiu rodzinnem a natomiast marzy o spełnianiu zadań społecznych, do których wiedzie ją, jak zwykle bywa u emancypantek, tylko fantazya lub system nerwowy. Ale ta walka wrażenia nie czyni; sama dyalektyka, bez motywów psychologicznych, bez prawdy życia, stworzona w głowie autora który albo nie umie podglądać życia, albo nie umie sądzić co w ludziach jest treścią ich duszy a co tylko nabytą „formułką“ dla wygody własnego egoizmu. Wskutek rozłomu między małżonkami, z powodu obszernych ich dążeń i ideałów — następuje jak zwykle zdrada po stronie męża, a potem zdrada na „złość mężowi“ po stronie żony, która nie chce być „poddanką“.

Sztuka kończy się chęcią odbudowania z ruin szczęścia domowego u męża — a zimnym i bez przekonania rzuconym frazesem żony i „nareszcie wolna“ przez co niewiadomo co ta żona rozumie, czy umiejętność swego egoizmu czy akt zdrady małżeńskiej popełniony na zimno z pierwszym lepszym durniem.

Sztuka wystawiona pospiesznie, obsadzona od początku do końca (prócz p. Wojnowskiej i Jednowskiego) niewłaściwie (bo też nie było jej właściwie kim obsadzić) wypadła bardzo mizernie. Pani Sulima nie podołała zadaniu przeprowadzenia roli żony która nie chce być poddanką. Wogóle nie ma dziś w krakowskim teatrze artystki na tego rodzaju role. Powierzenie tej roli p. Sulimie było przecenieniem sił tej zdolnej, ale jeszcze zamało rutynowanej artystki.

Może też przecie kiedyś będzie inaczej, to jest lepiej czego z całego serca życzę i publiczności krakowskiej i obecnej sympatycznej nam tylko ze względu na p. Kotarbińskiego dyrekcyi.

Dr. Włodzimierz Lewicki.

Kronika literacko-artystyczna.

LITERATURA.

* Nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego w Petersburgu, ukazała się w osobnej książce *Historya sześciu miesięcy, ustęp z dziejów 1862 roku* przez Walerego Przyborowskiego. Rzecz ta była już przed kilku laty drukowaną w fejletonie *Gazety Warszawskiej* i wywarła na czytelnikach silne wrażenie, najprzód przez sam interes, jaki budzić musiał temat tak żywotny, historya czasów tak blizkich, na które wielu z nas patrzyło i których skutki, jak słusznie autor w przedmowie powiada, dziś na sobie jeszcze odczuwamy, a następnie przez sąd bezstronny i spokojny o ludziach i rzeczach. Książka obejmuje czasy od przyjazdu W. Ks. Konstantego Mikołajewicza do Warszawy w charakterze Namiestnika Królewskiego, aż do wybuchu powstania, t. j. od lipca 1862 r. do początków 1893 r. Nie wątpimy, że znajdzie ona szerokie koło czytelnictwa, czego jej szczerze życzymy z uwagi, że wiele z niej nauczyć się można i wielu błędów uniknąć. Szkoda tylko, że korekta jest dość zaniedbana.

* Ostatni zeszyt *Wisły* (za lipiec i sierpień) zawiera kilka interesujących prac. Dalszy ciąg opisu Mazowsza pruskiego, z przytoczeniem piosnek ludowych, skreślony przez p. G. Smólskiego, daje ciekawą charakterystykę tego ludu, zapomnianego przez nas, a jednak wytrwale broniącego swej narodowości. Niemniej zwraca na siebie uwagę praca pana Tetznera p. t. „Pobrzeże Liwca“. Zeszyt przyozdobiony jest fotografiami typów ludowych z gub. Lubelskiej, oraz szeregiem drzeworytów, znalezionych w Płazowie w pow. Cieszanowskim w Galicyi, pochodzących z pierwszej połowy XIX w., a będących wierną kopią jakichś dzeworytów starożytnych. Zwykłe działy wypełniają ten zeszyt pisma, które nie przestaje wzywać swych przyjaciół, by starali się o rozpowszechnianie o nim wiadomości i pozyskiwanie mu prenumeratorów, przez co mogłoby zwiększyć objętość, wzbogacić dział ilustracyjny i inne poczynić ulepszenia. Ze stałego powtarzania tej odezwy okazuje się, że *Wisła* stoi jedynie ofiarnością jednostek i pomocą kasy Mianowskiego. Czyżby istotnie nie mogło się utrzymać o własnych siłach jedyne u nas pismo etnograficzne?

* Nakładem księgarni Jana Fiszera wyszło dzieło, znanego filozofa p. Wincentego Lutosławskiego p. t. *Z dziedziny myśli, studya filozoficzne.* Jest to zbiór rozprószonych dotąd po różnych czasopismach i w różnych epokach pisanych artykułów, popularyzujących niektóre zagadnienia filozoficzne. Znajdujemy tu rozprawy następujące: „Współczesna filozofia“. — „Metafizyka Lockego“. — „O istocie duszy“. — „Pojęcie czasu“. — „Determinizm“. — „Pesymizm“. — „O znaczeniu historyi filozofii“. — „O etyce chińskiej“. — „Descartes i jego filozofia“. — „Potęga duszy“. — Wydanie jest bardzo staranne.

* Przegląd armeński „Not Guyank“ — wychodzący w Londynie, zamieścił artykuł o współczesnej literaturze polskiej.

* „Wiestnik wsiemirnoj istorii“, miesięcznik, wychodzący w Petersburgu, drukuje w formie osobnego dodatku przekład „Historyi narodu polskiego“ Władysława Smoleńskiego.

* Czeska „Politik“ wydrukowała w feljetonie przekład obrazka Hajoty „Śniło mi się“...

Motto: *Cudze chwalicie, swego nie znacie —*
Sami nie wiecie, co posiadacie.

P. T.

Podejmując poprzednie wydawnictwo „Kraj w obrazach" z przekonaniem, że nowość ta zainteresuje najszerszy ogół, starałem się przez dokładność materyału i dbałość o estetyczną stronę wydawnictwa, na które to warunki główny kładę nacisk, odpowiedzieć zadaniu pierwszorzędnej publikacyi illustrowanej z treściwemi, możliwie dokładnemi objaśnieniami, dotyczącemi dat historycznych, tudzież szczegółów odnoszących się do przeszłości i teraźniejszego stanu danej **okolicy, miasta, gmachu** lub **zabytku historycznego,** zebranych przez pierwszorzędnych pisarzy naszych. Ukończyłem Seryę I. „Królestwo Polskie" i przystępuję do wydawnictwa Seryi II. „Galicya w obrazach".

Wydawnictwo składać się będzie z 24 do 30 zeszytów, a każdy zeszyt obejmie widoki fotodrukowe w rozmiarze $^{19}|_{24}$ ctm., a w ten sposób Galicya utworzy album z około 120 obrazów.

Odpowiedzialny redaktor na Galicyę: *Edmund Kolbuszowski.*

Wydawca: *Konstanty Woźniak.*

WARUNKI PRENUMERATY:

NA

„GALICYĘ W OBRAZACH"

Cena pojedynczego zeszytu wynosi 60 hal. (groszy).

Prenumeratorzy, płacący z góry przy rozpoczęciu „Galicyi w obrazach" 15 koron (za całość) bez względu na to, że ilość zeszytów odpowiednio do materyału może być powiększona, otrzymają ozdobna okładkę za połowę ceny sprzedażnej.

Nadto za przysłaniem 2 koron na opakowanie z wysyłką, otrzymają

bezpłatnie 5 premij wartości 18 koron

a to: obraz **„Kazanie Skargi"** z oryginału Jana Matejki wielkości ($^{48}|_{63}$ ctm.),
Album ilustrowane **„Odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie",**
Album illustrowane **„Ogniem i Mieczem"** podług rysunku **Juliusza Kossaka,**
Poczet **„Królów polskich"** na kredowym papierze wielkości ($^{63}|_{5}$ ctm.)
i **100 kart korespondencyjnych z widokami krajowymi.**